

learn now





Państwowy Teatr Nowy w Poznaniu
sezon 1977/78

Premiera: piątek 14 kwietnia 1978r.

SŁAWOMIR MROŻEK EMIGRANCI



Obsada:

- | | |
|-------------|------------------------------|
| AA | - Lech Łotocki |
| XX | - Wiesław Komasa |
| Reżyseria | - Wojciech Szulczyński |
| Scenografia | - Sławomir Dębosz |
| Dźwięk | - Stanisław Radwan |
| Inspicjent | - Grażyna Weber |
| Sufler | - Dorota Kuczyńska-Standetto |

...I jak to wygląda z Warszawy

Sztuka, którą Roger Blin wystawił w Petit Orsay, jest rzeczywiście całkiem interesującym studium sytuacji międzyludzkiej, rozgrywanej wszędzie i nigdzie. Dwóch mężczyzn zamkniętych bez ratunku w jednym pokoju i dręczących się nawzajem: coś jakby przedłużenie „Drzwi zamkniętych” Sartre’a, wyposażonych w realistyczny sztafaż. Widzowie francuscy oglądają na scenie ponury dramat o wzajemnym znęcaniu się — ale i przyciąganiu — ludzi na siebie skazanych.

Dla widza polskiego jest to jednak trochę inny spektakl, bo i teatr jakby szerszy: obejmuje przecież nie tylko scenę, lecz także publiczność. I wówczas pewne rzeczy zaczynają budzić zdziwienie. Na przykład tytuł. Bo ani Blina, ani aktorów — ani też, jak się zdaje, nikogo z widzów — zupełnie nie interesuje to, z jakiego właściwie powodu tych dwóch zmagających się ze sobą i tak bardzo niedopasowanych mężczyzn znalazło się w suterenie, w nie nazwanym nigdzie wielkim mieście. Na ten brak zainteresowania wskazują nawet skrót w tekście, choćby redukcja monologu AA o małpie, który zresztą i w skróconej postaci spotyka się z brakiem oddźwięku. Bo dla paryżan to wcale nie są emigranci. To są imigranci.

To są właśnie ci dziwacznymi cudzoziemcy, którzy tłoczą się w metrze, oszukują francuskie władze podatkowe, zapełniają dzielnice biedoty i korytarze prefektur w oczekiwaniu na karty pobytu. Reakcje publiczności zdradzają czasem jawną ksenofobię: prymitywizm XXa jest dla widzów obrazem niższości kulturalnej, zaś okrucieństwo AA — obrazem niższości moralnej. Wynika to w znacznym stopniu z naturalistycznej koncepcji przedstawienia: aktorzy całym zachowaniem podkreślają, że są właśnie tymi, którymi są na scenie, że nie stoją za nimi żadne inne racje. Sztuce Mrożka odebrano wszystko, co było w niej umowne czy sugerowane: taka jest konsekwencja dbałości o prawdziwość szczegółów, o wiarygodność bulgotu w rurach, o to, by aktorzy jedli i pili na prawdę. „Psa” konserwa XXa jest tak bardzo autentyczna i tak bardzo autentycznie rozbijana siekierą, że moi sąsiedzi na widowni z jej rozprysniętych resztek musieli się ocierać przez cały spektakl. I nawet nie byli bardzo zdziwieni: może ten sposób otwierania konserw stanowi w kraju, z którego bohaterowie pochodzą, element kolorytu lokalnego? Z tymi przybyszami przecież nic nigdy nie wiadomo. Pełne zrozumienie budziła natomiast eksplikacja AA na temat planowanego przez XXa podpalenia domu, by zatrzeć ślady morderstwa: po imigrantach wszystkiego można się spodziewać...

To, co piszę, nie jest nawet pretensją pod adresem Blina — ani pod adresem Francji. Po prostu zobaczyłam w Petit Orsay sztukę, której się nie spodziewałam, której z tekstu Mrożka trudno się było domyślić. A przecież taka sztuka tkwi tam także: mroczna dostojewszczyzna, rozgrywająca się wśród ludzi niezmiernie dziwacznych i źle wychowanych.

Jednak Roger Blin, tak dbały skądinąd o dosłowność, nawet w tej naturalistycznej sztuce pewnych rzeczy jakby nie zauważył. Poszczególne sceny mają wprawdzie swoją wewnętrzną logikę i swoją dynamikę, są to jednak sceny izolowane. Tymczasem w „Emigrantach”, właśnie w warstwie fabularnej, istnieje pewien czynnik organizujący, a w przedstawieniu nie wyzyskany. To alkohol. Rosnące napięcie, coraz większa jaskrawość zachowań, końcowa histeria i nawet ostateczne rozładowanie — są w tym retorycznym skądinąd dramacie ściśle podporządkowane rytmowi kolejno spełnianych kieliszków. Codzienna beznadziejność, która nagle obnaża swój tragizm, to w porządku naturalistycznym po prostu obraz pijaństwa. A to nie zostało wygrane. Ponurzy cudzoziemcy na scenie teatru Orsay od początku postępują się krzykiem, gwałtownym gestem, jaskrawą ekspresją. Spektakl można by rozpocząć — lub przerwać — właściwie w dowolnym miejscu. Nic by się od tego nie zmieniło.

Doświadczenie reżyserki Blina wiąże się przede wszystkim z teatrem absurdu i choć reżyser, jak się zdaje, bardzo nie chciał, by to w jego „Emigrantach” było widoczne, nie zdołał jednak całkowicie wyzwolić się z własnej tradycji. Albo szukał rozwiązań demonstracyjnych z nią sprzecznych — czymś takim przecież jest prawdziwa herbata i prawdziwe pociągi z dworca Orsay — albo jej nieświadomie ulegał, lekceważąc znaczenie motywacji psychologicznych, historycznych i sytuacyjnych. Dążył do stworzenia modelowej sytuacji egzystencjalnej i w rezultacie osiągnął jedno: ci ludzie na pewno nie budzą współczucia. Nic dziwnego, że Darrieu był wstrząśnięty okrucieństwem Mrożka. W interpretacji Blina, odbierającej bohaterom biografie, więc kasującej usprawiedliwienia, okrucieństwo to jest tym drastyczniejsze, że całkiem bezinteresowne.



Sławomir Mrozek

Z cyklu: Małe listy

Przyjrzyjmy się samo-szyderstwu.

Szydę z siebie, to znaczy, że jestem mądrzejszy od samego siebie. (O ludzie, czy to dostrzegacie? Czy to doceniacie?).

Szydząc z siebie zapobiegam, aby szydzili ze mnie inni. (O ludzie, nie szydźcie ze mnie, ja już to sam zrobiłem, ubiegłem was).

Samo-szyderstwo bynajmniej nie świadczy, że naprawdę uważam siebie za nic. Samo-szyderstwo świadczy, że nie jestem pewien swojej wartości, choć chciałbym być. Wobec tego wolę zapewniać, że w ogóle nic nie jestem wart.

Ale ponieważ sam z siebie szydę, więc wznoszę się ponad moją niewartość, jestem mądrzejszy od samego siebie, czyli jednak mądry, czyli jednak coś wart, etc., etc.

Jest różnica między szyderstwem a trzeźwym spojrzeniem. Szydzenie jest rodzajem upojenia, nietrzeźwości. Jest upojne. Spojrzenie krytyczne, humor w stosunku do siebie, to nie szyderstwo. Humor jest pobłażliwy, a pobłażliwość świadczy o pewności siebie. Szyderstwo jest gorzkie i twarde. Złe. Świadczy o złym stanie nerwów.

Samo-szyderstwo jest dzieckiem podejrzliwości. Podejrzliwości skierowanej przeciwko sobie i doprowadzonej do stanu zapalnego. Zaś podejrzliwość, ogólna, nagminna, powszechna, podejrzliwość skierowana we wszystkie strony, podejrzliwość jako styl jest chorobą naszego wieku.

Wszystko zaczyna się od: „To nie święty Mikołaj, to tatuś. He-he”.

Samo tylko: „To nie święty Mikołaj, to tatuś” mieści się jeszcze w krytycyzmie, w trzeźwości, w przenikliwości. Ale doszło do tego owo „he-he” i to „he-he”, ten rechot, rozlega się gromko i nieustannie. Tworzy styl. Rechocząc oddajemy się z pasją tak zwanemu demaskowaniu. „Demaskujemy” wszystko z góry, z założenia. Przybraliśmy postawę „demaskatorską” i trwamy w niej nieruchomo, jak święty Szymon Słupnik na słupie. Jak każda pozycja nieruchoma, tylko ta i żadna inna, wybrana i ustalona raz na zawsze jako jedyna, jako „najlepsza” — ta postawa jest kalectwem. Szpitale wariatów pełne są chorych, którzy tygodniami trwają w jednej pozycji, nieruchomo. Na przykład na jednej nodze, albo twarzą do ściany...

Nastawienie „mnie nie nabiorą”, podniesione do rangi programu, światopoglądu, systemu, jest tanim, tandetnym i dlatego popularnym sposobem na dobre samopoczucie, na przekonanie siebie o swojej własnej wyższości i utwierdzenie się w tym przekonaniu. Oto cały świat chce mnie podejść, oszukać, ale ja się nie dam, jestem mądrzejszy, chytrzejszy, bardziej przenikliwy od wszystkich i wszystkiego. Od tych, którzy chcą mnie podejść i od tych innych, głupców, którzy ewentualnie podejść się dają. A w ogóle życie, cały bieg rzeczy we wszechświecie tylko na tym polega, żeby stwarzać przede mną pozory, które ja przenikam i odrzucam z owym „he-he” na ustach. Proste i wygodne.

Dialog 1975 r. nr 4

Kiedy się urodziłem, byłem gotów uznawać i szanować autorytety. Słowo „konformista” nabrało brzydkiego znaczenia. Ale gdyby sprawy tego świata nie toczyły się zwichniętym torem, jak śruba po „falszgwincie”, coś naturalniejszego i zdrowszego, jak dostosowywać się do rzeczywistości, do jej kształtu, konformować się? Młode zwierzęta doskonale konformują się z prawami gatunków, młody lew chce być taki sam, jak stary lew, ponieważ stary lew wie, co robi, a to, co robi, służy lwom w najbardziej lwi ze wszystkich możliwych sposobów. Młody lew nie szuka swojego własnego wariantu, jak być lwem, ani nie protestuje przeciwko swojej kondycji lwa. Jest lwem spokojnie aż do końca swoich dni, tak samo jak jego ojciec i praojciec, też lew. Przez pierwsze lata dzieciństwa pozostawałem w tej błogosławionej, zwierzęcej kondycji. W sferze zja-



wisk fizycznych autorytety mają za sobą natychmiastową gwarancję doświadczenia. „Nie dotykaj ognia, bo się sparzysz” — powiada ojciec. I rzeczywiście, niechbym wtedy spróbował kontestować pakując rękę w ogień. Autorytet mógł być spokojny, że taka kontestacja ukarze sama siebie. Skompromituje się od razu już w samym swoim procesie, bez czekania na historyczne skutki i samoczynnie wzmocni tylko autorytet.

Nic dziwnego, że autorytet tak utrwalony w sferze natury działał jeszcze potem w sferze kultury. Nie przyszło mi do głowy, że Marszałek Piłsudski mógł być inaczej przedstawiony niż tak, jak to robił „Płomyczek” (przedwojenne pisemko dla dzieci), że dogmat Niepokalanego Poczęcia nie przedstawia się tak prosto jak w „Rycerzu Niepokalanej”, że polscy ułani nie są niezwykłymi. Wszystko przyjmowałem za dobrą monetę, wszystko było autorytetem. Nawet kolega z wakacji, który udzielił mi pierwszych informacji na temat życia erotycznego, nieścisłych, jak się później okazało.

Ale rosnę. Jednak sam fakt mojego rozwoju fizycznego nie groziłby autorytetom, gdybym rósł w dorzeczu Amazonki i to nie dzisiejszej już, ale pół wieku temu co najmniej, jako członek małego plemienia zwanego prymitywnym. Tylko w kulturze całkowicie jednorodnej, kolektywistycznej i zamkniętej w sobie autorytetom dobrze się powodzi. Ale tam i wtedy, gdzie i kiedy rosnę, rzeczy były już bardziej pomieszane i jednocześnie z moim ciałem rósł zakres i operatywność mojej wyobraźni, czyli tego wszystkiego, co można sobie pomyśleć. Przede wszystkim powiększyła się ilość znanych mi autorytetów i zaczęło się zdarzać, że jeden mówił nie to samo, co drugi, ale całkiem i wręcz coś przeciwnego.

Młody człowiek za blisko jest jednak dziecka, żeby autorytet przestał być dla niego nieuniknionym i nieprzewyciężonym problemem. Brak autorytetu, który by chciało się uznać, jest okaleczeniem i dopiero później można nauczyć się chodzić bez jednej nogi i jeść lewą ręką. Autorytet jest niezbędny dla zdrowia, bo kogo stać na stworzenie całego świata od początku, tylko własnymi siłami? (A jednak trzeba, tak jak rzeczy stoją). Potrzebujemy kogoś od kogo moglibyśmy przyjąć pewną ilość podstawowych rozwiązań jako pewniki, po to, żeby się zająć rozwiązaniami dalszymi.

Niestety, spostrzegliśmy, że autorytet nadużył naszego zaufania. Powiada, że wie wszystko, nawet kiedy nic nie wie. Spostrzegliśmy, że nieraz podaje nam rozwiązanie pozorne, albo jawnie głupie. Im bardziej

oddalamy się od „nie dotykaj ognia, bo parzy”, im bardziej sprawy stają się spiętrzone, rozłożyste, skomplikowane, tym sprzeczność między ukrytą bezradnością, a jawną pewnością siebie autorytetu większa.

Dalej-że (mówię o młodym człowieku) mścić się za zawiedzioną miłość, zaufanie i szacunek. Gwałtownie rzuca się w twarz autorytetowi, który nas zawiódł, nasze oburzenie i pogardę. Wypowiadamy mu kontrakt (nie dotrzymał umowy nie dając nam prawdy, wobec tego my odbieramy mu szacunek), jednocześnie upojeni wolnością świeżo odkrytą. Po raz pierwszy jesteśmy sami, po raz pierwszy „myślimy na własną rękę”. Umyślnie używam tej pociesznej, grafomańskiej formy, ponieważ, rzeczywiście, znów dzieje się coś fałszywego. Nie mogąc jeszcze żyć bez autorytetu rzuca się w objęcia autorytetu innego, wszystko jedno jakiego, byle takiego, który głosi akurat coś przeciwnego niż autorytet porzucony. Niech ma, niech widzi, jemu na złość. Tyle tylko, że dokonujemy przy tym żalostnej operacji na własnym mózgu. Nie chcemy już się przyznać, że znowu autorytetowi ulegamy (ho-ho, z tym skończone) i udajemy przed sobą, że zdarzył się radosny przypadek: oto, myśląc „na własną rękę”, odkryliśmy idealną zbieżność między owocami naszych własnych myśli, a tezami autorytetu numer dwa. To nie on nas wciąga, to my do niego dobrowolnie przystajemy, jak równy z równym. Dorośli i suwerenni. He-he.

Potem historia powtarza się, ale to, co wynika z powtórki może być rozmaite. Młody człowiek jest coraz mniej młodym człowiekiem. Nie tyle goni już za prawdą, ile za swoim portretem, który już sobie tymczasem namalował. Jeszcze raz przemalowywać? Zmęczenie. Przyzwyczajenie. Czasem wstyd, żeby się do tego wszystkiego przyznać. W ogóle życie... Konformizm jest prawem natury, a co to jest rzeczywistość (czyli to, do czego należy się przystosowywać) — co do tego zdania są podzielone, ale nierówno. Większość zdań jest pod tym względem jednolita. Zresztą, mój Boże, taki panuje zamęt ogólny...

Owszem panuje, i to coraz większy. Wszystko już miesza się ze wszystkim. I w tym zamieszaniu rośnie głód, potrzeba, konieczność autorytetu. Wszystko jedno jakiego, byle jakiś był. Z wdzięczności za to, że jest, nie będziemy mu zaglądać w zęby.

Tu i ówdzie snują się kaleki, które nauczyły się żyć bez tego, co naturalne i potrzebne. Tylko w śmiałych wizjach science-fiction można przypuścić, że wyrosnie z nich nowa rasa, że kalectwo przerodzi się w nowy, inny rodzaj naturalności i zdrowia.



Wychowanie dla wolności

(...) Intensyfikacja stylu życia oznacza więc zarówno zwiększenie bogactwa przeżyć indywidualnych, jak i rozszerzenie zakresu kontaktów międzyludzkich. W tych warunkach człowiek nawiązuje łączność z większą ilością ludzi, względnie swe kontakty z mniejszą grupą rozbudowuje bardziej różnorodnie. Staje się to — z kolei — nowym źródłem wzbogacenia jego życia.

Intensyfikacja taka jest równocześnie swoistą obroną psychiczną przed niebezpieczeństwem zniszczenia jednostki powodzą wrażeń, wzbudzanych przez otaczającą rzeczywistość. Intensyfikacja wymaga bowiem zawsze wyboru spośród ogromnej masy podniet tych tylko, które nam w jakiś sposób odpowiadają; intensyfikacja jest selektywna nawet i wówczas, gdy nie ogranicza reakcji jednostki wyłącznie do jednej dziedziny podniet, gdy pozwala na życie wielorako zorganizowane.

Ta selektywna i aktywna odpowiedź człowieka na bogactwo współczesnego świata może mu zapewnić życie różnorodne i interesujące a zarazem włączone w różnorakie wspólnoty. Jest to układ życiowy inny niż ten, o którym mówi socjologia współczesna analizując wielorakie role społeczne ludzi. Role takie są zazwyczaj sformalizowanym i zinstytucjonalizowanym uczestnictwem jednostki w określonych grupach. Są też zwykle różnymi postaciami jej funkcjonowania społecznego. W przeciwieństwie do tego intensyfikacja życia, o której mówimy, dotyczy osobistych doświadczeń i przeżyć człowieka, a jego łączność z innymi ludźmi kształtuje w sposób całkowicie płynny i prywatny. Jest to łączność wynikająca z trwałej lub przemijającej i nastrojowej zbieżności przeżyć, wyrażająca się w małych wspólnotach niesformalizowanych, w koleżeństwie i przyjaźni. Formą już bardziej ustabilizowaną i zagrożoną niebezpieczeństwem instytucjonalizacji — są grona „miłośników”, związane wspólnymi zainteresowaniami.

Wszystko to stanowi ważny element nowoczesnego stylu życia i godne jest szczególnej troski wychowawczej. Niestety, nie jest ona ani częsta, ani skuteczna. Większość ludzi „przechodzi” przez bogaty świat nowoczesny nie widząc i nie słysząc tego, co się w nim dzieje; „przechodzi” też wśród ludzi w izolowaniu, nawiązując tylko kontakty powierzchowne i obojęt-

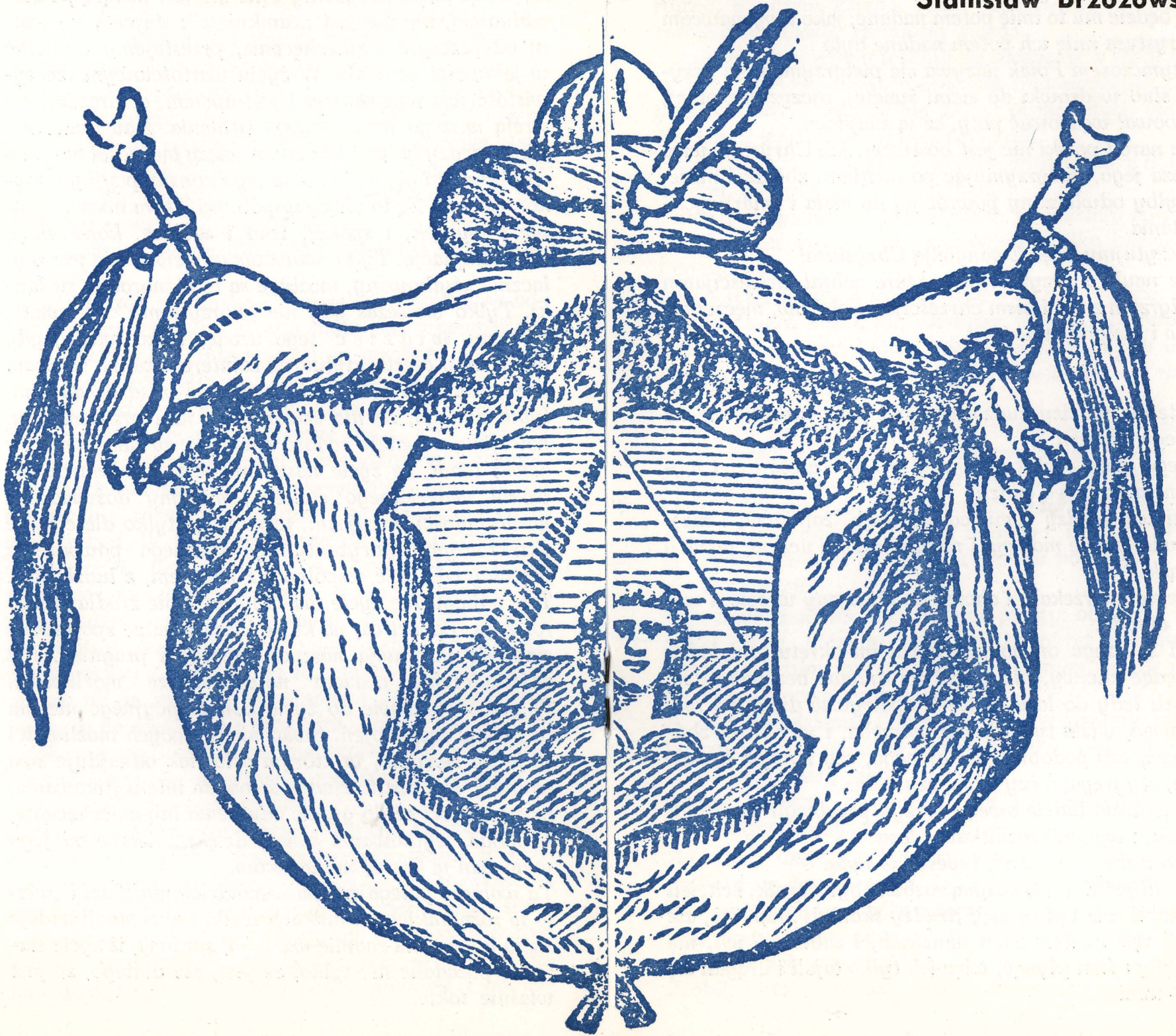
ne. Jest to laicka wersja pustelniczego trybu życia w zgiełku wielkich miast, życia jałowego i ograniczonego.

(...) Być może człowiek jest tym bardziej człowiekiem, im śmieiej przkracza swe własne osiągnięcia i swe własne granice. Model konsumpcji jest właśnie dlatego tak bardzo nieludzki, ponieważ w konsumpcji tylko i wciąż powtarzamy samych siebie, nie odkrywając nigdy możliwości nowych, które tylko bezinteresowny wysiłek twórczy przed nami odślania. W tym wysiłku twórczym życie zyskuje sens w tym, co się dzieje, nie w tym, że się czegoś używa. W tym wysiłku odślaniają się wciąż nowe horyzonty i nic nie jest nużącą powtarzalnością, nic nie jest „zamknięte”; stajemy się wolni od przesytu i zniechęcenia; przestajemy zamierać w jałowości istnienia. W życiu wartościowym rzeczywistość jest wyzwaniem i jest apelem, a zarazem jest strefą naszego prawdziwego istnienia. Nawiązane zostają między ludźmi i światem więzy łączności bardziej różnorodne i głębokie niż w jego konsumpcyjnym wykorzystaniu. Są to więzy wspólnoty, która mieści w sobie i wysiłek, i spokój, trud i zabawę, konstrukcję i kontemplację. Tylko wówczas gdy świat nie jest wyłącznie użytkowany, możliwe są te różnorodne stosunki. Tylko wówczas gdy nie „korzystamy” ze świata, możemy w i d z i e ć jego urodę; tylko wtedy, gdy porzucamy często utylitarne zainteresowania, możemy poznawać jego prawdę i uzyskiwać władzę nad nim; tylko dlatego, że nie szukamy w nim przyjemności, potrafimy odnaleźć radość z naszego w nim istnienia; dzięki temu, że życie nasze nie jest skoncentrowane wokół materialnego sukcesu, możemy doświadczyć uczuć miłości, przyjaźni, wspólnoty; tylko dlatego, że przekroczymy horyzonty egoistycznego powodzenia możemy odnaleźć wspólnotę z narodem, z ludzkością. Tak pojmowane życie ma samo w sobie źródła swego rozwoju. Bogactwa, na które kieruje nasze spojrzenie, stają się inspiracją naszych przeżyć i pragnień. Ich doświadczenie otwiera nowe, dalsze możliwości. W przeciwieństwie do życia konsumpcyjnego nie ma tu pułapu zaspokojeń. Świat nieustających możliwości staje się światem, w którym człowiek odnajduje swą wolność. Nie jest to złudna swoboda intensyfikowania, przyjemności aż do granic odurzenia lub zniechęcenia, swoboda użytkowania świata dzięki ucieczce od jego wymagań w krainę narkotyków.

Ta wolność polegająca na współdziałaniu ludzi i świata w różnorakich stosunkach walki i akceptacji nadaje życiu ludzkiemu znamię wartości; sprawia, iż życie staje się pożądane nie tylko, że jest, ale dlatego, że jest właśnie takie.

(...) wpadły mi w ręce pisma naszych emigracyjnych poetów i zetknięcie się z nimi wywołało rozterkę (...) Odbierają rzetelność i jasność myśli te książki, wprowadzają do duszy naszej ferment rozstrajający i niszczący wolę. Skąd powstały one? Świat tułaczów, tęskniących wygnańców zrodził je jako samoobronę przeciwko życiu. Pozostały one jako zakamieniła wola serca, które nie chce widzieć. Rodził się koło tych ludzi nowy świat: cały świat nowoczesnej ludzkości, oni nie widzieli go, nie chcieli go widzieć. Oni pytali się narastającego, rozwijającego się życia: „Zwrócisz mi Polskę?”

Stanisław Brzozowski



Adam Mickiewicz

Księgi Pielgrzymstwa Polskiego

Duszą narodu polskiego jest pielgrzymstwo polskie. A każdy Polak w pielgrzymstwie nie nazywa się tułaczem, bo tułacz jest człowiek błądzący bez celu; ani wygnańcem, bo wygnańcem jest człowiek wygnany wyrokiem urzędu, a Polaka nie wygnał urząd jego.

Polak w pielgrzymstwie nie ma jeszcze imienia swego, ale będzie mu to imię potem nadane, jako i wyznawcom Chrystusa imię ich potem nadane było.

A tymczasem Polak nazywa się pielgrzymem, iż uczynił ślub wędrówki do ziemi świętej, ojczyzny wolnej, ślubował wędrować póty, aż ją znajdzie.

Ale naród polski nie jest bóstwem, jak Chrystus, więc dusza jego, pielgrzymując po otchłani, zbłądzić może, i byłby odwieczony powrót jej do ciała i zmartwychwstania.

Odczytujmy więc Ewangelią Chrystusa!

I te nauki i przypowieści, które zebrał chrześcijanin pielgrzym z ust i pism chrześcijan Polaków, męczenników i pielgrzymów. (...)

XI.

Jesteście między cudzoziemcami jako rozbitkowie na brzegu cudzym.

Onego czasu rozbił się okręt; wszakże część ludzi wypłynęła na brzeg cudzy.

Byli zaś między tymi, co wpłynęli, żołnierze, i majtkowie, ludzie morscy, i rzemieślnicy, i uczeni, piszący książki.

Wszyscy narzekali, i chcieli do Ojczyzny wrócić; i weszli w radę.

Lud z brzegu onego nie dawał im okrętu, ani łodzi, a będąc chciwy, nie dawał im drzewa bez pieniędzy. Poszli tedy do lasu i zaczęli opatrywać drzewa i rozprawiać, wiele tych drzew potrzeba, i jaki okręt zbudować, czy podobny do dawnego, czy nowym kształtem, czy fregatę, czy bryg, czy kuter.

Tymczasem ludzie owego brzegu przybiegli na odgłos kłótni, i wygnali rozbitków z lasu.

Zaczęli więc narzekać; i weszli w radę.

Mówili jedni, iż przyczyną rozbicia był sternik, i chcieli go zabić, ale był utonął! drudzy skarżyli majtków, ale mieli tylko kilku ludzi morskich, i zabiwszy ich, nie mieliby z kim płynąć, więc ich tylko łajali i urągali się nad nimi.

Niektórzy wywodzili, iż rozbicie przyszło z wiatrem północnym, inni składali je na wiatr zachodni, inni obwiniali skałę podwodną. I stała się między nimi kłótnia wielka, trwała zaś rok cały, a nic nie uradzono. Rzekli więc: rozejdźmy się, a szukajmy sposobu do życia. Więc cieśle poszli budować domy, a mularze mularować, a uczeni książki pisać cudzoziemcom, każdy rzemieślnik wedle rzemiosła swego.

I stało się, że wszyscy tęsknili do ojczyzny; a jedni nie umieli budować wedle rozkazania budowniczych cudzoziemskich, a drudzy nie umieli pisma onych ludzi. Narzekali więc; i weszli znowu w radę.

I znalazł się między nimi człowiek prosty, który dotąd milczał, bo był cichy; ten rzekł im:

Pracując i żywiąc się, zapominacie, że musimy powracać do Ojczyzny, a nie powrócimy, tylko okrętem, i po morzu.

Niech więc każdy z was buduje i muruje i pisze; ale zarazem niech każdy kupi siekierę, a uczy się pływać. Zaś ludzie morscy, którzy między nami są, niech wywiedzą się o morzu, i o brzegach tutejszych, i o wiatrach.

A gdy już będziem gotowi, pójdziemy do lasu, i zbudujem prędko okręt, ni się obejrzą ludzie brzegu tego. A jeśli zechcą nam wstręt czynić, tedy mając siekiery, obronimy się. Rzekli więc: obierzmy sternika. Jedni chcieli starego, drudzy młodego; mularze innego, uczeni innego. I trwała ta kłótnia pół roku, i nic nie postanowili.

Natenczas rzekł im ów człowiek prosty: obierzcie na przód cieślę, któryby wam prędko okręt zbudował, a zbudujcie tymczasem kształtem dawnym, bo nie mamy czasu nowego próbować.

A gdy wsiądziemy i wypłyniemy, zbierzemy ludzi, którzy między nami są ludzie morscy, i każemy im obrać spomiędzy siebie sternika.

Ludzie morscy, równie jak my, nie zechcą utonąć; więc dobrze wybiorą.

A jeśliby wtenczas była między nami kłótnia, tedy skończy się, bo mocniejsi słabszych albo powiążą, albo w morze wrzucą; a póki jesteśmy na tym brzegu, kłótnia nigdy nie skończy się, bo nam nie wolno ani zabijać drugich, ani wiązać.

Zrobili ci tak, jak im radził, i wypłynęli szczęśliwie.

Adam Mickiewicz

Pieśń Pielgrzyma



Te rozkwitłe świeżo drzewa
Upajają słodką wonią;
Wody szepcą, słowik śpiewa
I koniki cicho dzwonią.

Czemuż zadumany stoję
I wiosną się nie weselę?
Bo sieroce serce moje:
Z kimże wiosnę tę podzielę?

Przed mym domem w pomrok szary
Stają muzycy tułacze,
Słyszę śpiew i dźwięk gitary,
Odmykam okno i płacę.

Zakochani to mistrele
Pod oknem kochanki nucą;
Mnie nie bawią, ale smucą —
Z kim się muzyką podzielę?

Tylem uczuł, cierpiał tyle,
Lecz nie powrócę do domu:
Opowiadać nie mam komu,
Zamknę powieść na mogile.

Założywszy ręce, siadam,
Na samotną patrząc świecę;
Czasem piosnkę w myśli składam,
Czasem pióro smutne chwycę.

Rodzę myśli, rodzę słowa —
I czemuż się nie weselę?
Bo dusza moja, jak wdowa,
Widzi tylko sierot wiele.

Mija wiosna, mija zima,
Mija pogoda i słońca —
Nie przeminie żal pielgrzyma,
Bo on wdowiec i sierota.

(...) Bo i któryż z ludzi wytknąć nam zdoła kres naszej próby? Kto naprzód przeliczy jej godziny, dni, może lata? W jakimże to zapowiedzianym czasie, jakiejże szkoły filozofowie i doktrynery, konstytucyjni czy republikanie, okażą ludom Messyjasza świata politycznego, który w gruncie jest tylko zwyczajnym światem moralnym? kiedyż nad tym potopem teorii, marzeń i waśni, co ogarnął Europę ciągnąc w rozbiacie i pochłaniając rozумы tylu reformatorów, przeleci na koniec gołąb pokoju i zbawienia? Od rozpraw przechodząc do czynów: nie dosyć jest wstrząsnąć i przewrócić, aby naprawić i ubezpieczyć. Próżnoby kto mętną i brudną wodę chciał oczyścić i uzdrowić mieszanem choćby najgwałtowniejszym; — potrzeba iżby dno miała czyste. Szczęście narodu, jak szczęście pojedynczego człowieka, wewnątrz niego spoczywa.

(...) Wiadomo znów światu, że źródło wszelkiej propagandy politycznej i społecznej dla Polski pozbawionej bytu jako państwo, leży w emigracji. Emigracja przeto odpowiadać musi za doktryny, jakimi zasila patriotyzm krajowy, i za ich następstwa. Kraj, w tym roztrysku światła i ciepła, odgrywa rolę zupełnie bierną. Jest on zwierciadłem, ale nie pracownią propagandy. Tak samo się ma z wszelkim sprzysiężeniem, które nie jest czym innym, jeno propagandą skoncentrowaną na jeden punkt, na oznaczone ognisko odbicia. Należy więc wiedzieć, czy chcecie, Panowie, obwiniać zwierciadło o to, że odesłało do ogniska wybuchu światło, które na jego powierzchnię rzuciła propaganda demokratyczna i rewolucyjna emigracji?

Leon Zienkowicz

Wizerunki polityczne
dziejów państwa polskiego. Tom II.
Polska w kraju i za granicą od
1831 do 1848 r.





Cyprian Kamil Norwid

Moja Ojczyzna

Kto mi powiada, że moja ojczyzna:
Pola, zieloność, okopy,
Chaty i kwiaty, i sioła — niech wyzna,
Że — to jej stopy.

Dziecka — nikt z ramion matki nie odbiera;
Pacholę — do kolan jej sięga;
Syn — piersi dorósł i ramię podpira:
To — praw mych księga.

Ojczyzna moja nie stąd wstawa czołem;
Ja ciałem zza Eufratu,
A duchem sponad Chaosu się wziętem:
Czynsz płacę światu.

Naród mię żaden nie zbawił ni stworzył;
Wieczność pamiętam przed wiekiem;
Klucz Dawidowy usta mi otworzył,
Rzym nazwał człkiem.

Ojczyzny mojej stopy okrwawione
Włosami otrzeć na piasku
Padam: lecz znam jej i twarz, i koronę
Słońca słońc blasku.

Dziadowie moi nie znali też innój;
Ja nóg jej ręką tykałem;
Sandału rzemień nieraz na nich gminny
Ucałowałem.

Niechże nie uczą mię, gdzie ma ojczyzna,
Bo pola, sioła, okopy
I krew, i ciało, ta jego blizna
To ślad — lub — stopy.

Paryż, styczeń 1861

Jan Lechoń

Emigracja

Witoldowi Małcużyńskiemu

Na paryskim poddaszu huczy wiec wygnańczy,
siedzą starzy wodzowie w wspomnień dym zasnucci,
Podkówki krzeszą ognia, cała sala tańczy,
Biała panna wspomina kogoś, kto nie wróci.

Za oknem deszcz mży cicho, listów z Kraju nie ma,
W oddali kulawego milknie krok żołnierza.
I tylko to zostaje, co w dźwiękach zatrzyma
Ten, co teraz u krawca modny frak przymierza.

Kazimierz Wierzyński

Kufer

Marii Dąbrowskiej

Na strychu śpi mój powrót,
Kufer blachą okuty, walizy,
Cała moja ojczyzna,
Paszporty, obywatelstwa,
Emigracyjne wizy.

Kufer, mój wielki majątek,
Którego tutaj mam bronić,
Normalny nieszczęścia początek
I obłąkany koniec.

Kufer starych zjętcałych dzieci,
Gotowych dalej dziecinnieć i głupiec
I wśród niezdatnych na nic rupiec
Samotność dzika, gorycz nostalgii,
Najrozpaczliwszy rupiec.

Psie wycie za moją ziemią karpacką,
Spazm do którego wstyd mi się przyznać —
I przeprowadzka za przeprowadzką,
Z Ameryki do Europy,
Z Europy do Ameryki,
Kufer na plecach,
Schodzone stopy,
Ojczyzna.

Taki jest bagaż. Taki wojaż,
Taki mój rozkład jazdy;
Wszystkie strony świata otwarte
A wyjścia z żadnej.

Taki jest potrzask. Ani co wziąć stąd
Ani z czym dobiec na koniec:

Strych mój i powrót,
Zguba i miłość,
Której zabić nie umiem
Ani obronić.



2 CENTS



...Czytam te polskie gazety jak opowieść o kimś doskonale i blisko znanym, kto jednak nagle wyjechał na przykład do Australii i tam doświadcza dziwnych przygód... które o tyle już nie są rzeczywiste iż dotyczą kogoś innego i nowego, będącego jedynie w stanie luźnej identyczności z dawniej znaną nam osobą. Tak silna jest obecność czasu na tych stronicach, że odzywa się w nas głód bezpośredniości, chęć życia i niedoskonałej chociażby realizacji. Lecz życie jest jak za szkłem — oddalone — wszystko jakby nie nasze już, jakby widziane z pociągu.

Witold Gombrowicz, Dziennik 1953

Dyrektor i kierownik artystyczny

— Izabella Cywińska

Zastępca dyrektora

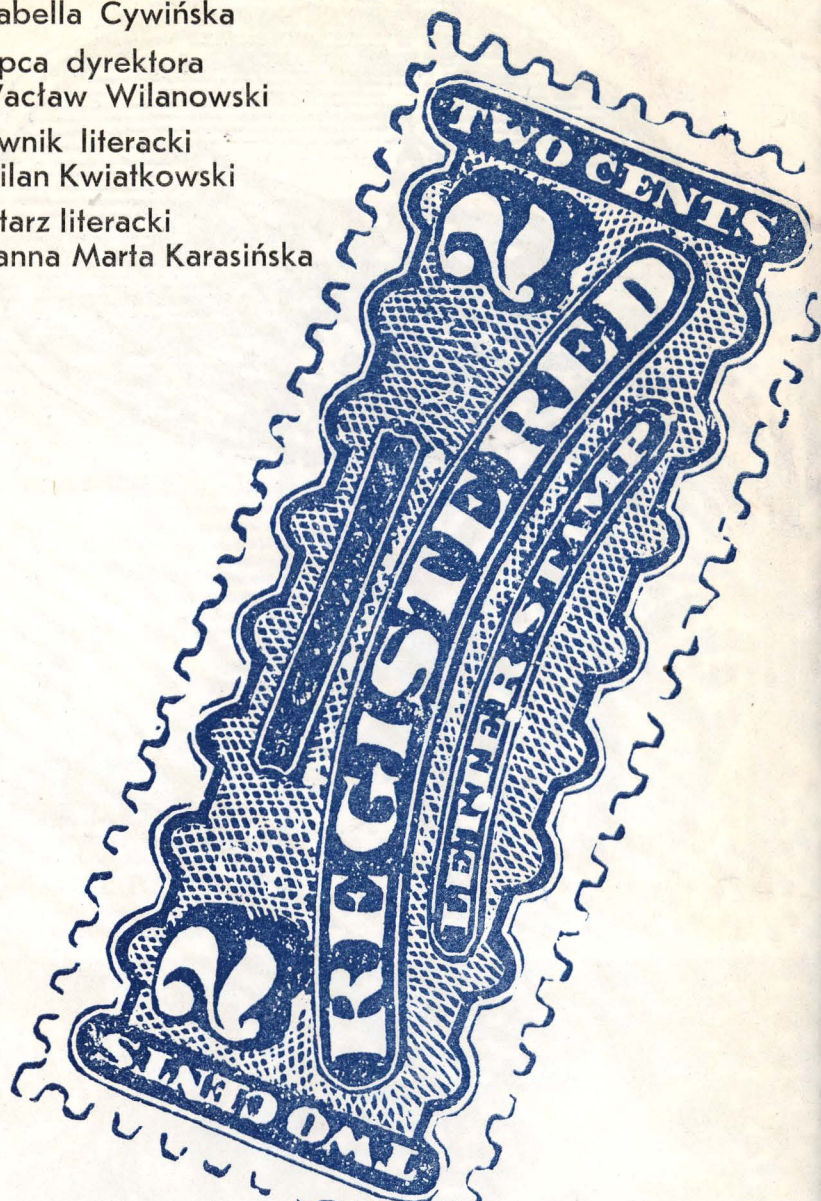
— Wacław Wilanowski

Kierownik literacki

— Milan Kwiatkowski

Sekretarz literacki

— Hanna Marta Karasińska



Kierownik widowni

— Jolanta Mroczkowska

Kierownik techniczny

— Andrzej Rogulski

Perukarnia

— Czesława Doroszkiewicz

Pracownia krawiecka damska

— Joanna Włodarczyk

Pracownia krawiecka męska

— Tomasz Sierchuła

Pracownia tapicersko-
-dekoracyjna

— Jerzy Skrzypczak

Modelator

— Leszek Zieliński

Pracownia ślusarska

— Romuald Pyrzyk

Brygadier sceny

— Ryszard Wach

Główny elektryk

— Lech Kielan

Akustyk

— Andrzej Biskup

Rekwizytor

— Elżbieta Drzewiecka

Pracownia obuwnicza

— Mieczysław Alberty

Kierownik Biura Obsługi
Widzów

— Bogumiła Dzierżak

Redakcja programu

— Hanna Marta Karasińska
— Milan Kwiatkowski

Opracowanie graficzne

— Tadeusz Piskorski

Redaktor techniczny

— Daniela Wojtkowiak

Cena: 15 zł



